

Rekonstrukcja

Ryszard Lenc

Nikt przez lata nie interesował się tą najmniejszą częstką Archipelagu, ucze-pioną na końcu niewielkiego łańcucha wysp, ostrożnie, jakby niechętnie wy-gładających z głębin zimnego oceanu, daleko na zachód od krańca kontynentu. Bardziej płowo-szare niż zielone, szarość zawdzięczały pozbawionym bujnej roślinności niskim kamienistym wzgórzom, barwę płową nadawała im nieuro-dzajna gleba i piasek szerokich nabrzeży. W nielicznych rzadkich zagajnikach rosły buki, dęby, klony i karłowate sosny, gdzieś tam błyskało małe jezioro, leniwie płynął strumień. Na wyspie było trochę małych zwierząt, wędrowne pta-ki miały tu swe lęgowiska. Klimat był mało zachęcający, lata niezbyt ciepłe, zimy raczej ostre. Wysepka na końcu Archipelagu miała oczywiście swą nazwę, ale nikt o niej nie mówił inaczej niż Ostatnia. Taka jak inne, ani bardziej, ani mniej przyjazna, jednak z powodu niewielkich rozmiarów i skalistego wybrzeża ni-gdy jej nie zasiedlono. Oddalona była od pozostałych niespokojnym, nie dość bezpiecznym dla codziennej żeglugi przesmykiem, więc pomysł na założenie tu niewielkiego meteorologicznego obserwatorium albo stanowiska kontroli gniazdowania albatrosów wędrownych nie zdobył dostatecznego wsparcia. Rozważano budowę lądowiska dla lekkich samolotów, ale koszty uruchomienia i przede wszystkim utrzymania wydały się zbyt wysokie.

Gdy zatem w Królewskim Towarzystwie Naukowym zgłoszono pomysł organi-zowania na dziewiczych dotąd, z badawczego punktu widzenia, wyspach Archi-pelagu niewielkiego sondażu, naukowego rekonesansu w ramach popieranego i – co ważne – aktywnie ostatnio finansowanego „Projektu Badania Dawnych Kultur Południowego Pacyfiku”, Ostatniej nawet nie ujęto w planach ekspedy-cji. Niezamieszkała – zapewne od zawsze – bez jakichkolwiek śladów obecno-ści człowieka i przejawów cywilizacji, nie mogła być dla sir Geoffreya Gordona i jego ludzi interesująca. I zapewne pozostałaby na wieki na uboczu archeolo-gicznych poszukiwań i dociekań, gdyby ekipa wysłana przez Królewskie Towa-rzystwo natrafiła na wyspach na jakiegokolwiek interesujące fakty. Nie natrafiła. Poza tymi już wcześniej dobrze rozpoznanymi. Ślady materialne dobrze znane z innych wysp tego fragmentu oceanu. Tradycyjne, aż nadto typowe, aż nadto powtarzalne tropy. Niewiele – trzeba przyznać – jak na dość kosztowną i nagłoś-nioną medialnie wyprawę na drugą półkulę. Żadnych rewelacji, co najwyżej materiał na kilkuminutowe sprawozdawcze wystąpienie na posiedzeniu Towa-rzystwa. „Przeanalizowano... potwierdzono...”. W tej sytuacji zgłosiłem postulat, +

aby ostatecznie dni pobytu na Archipelagu poświęcić na krótkie odwiedziny na wyspach dotąd niezbadanych, zaczynając od Ostatniej, w tej chwili lokalizacyjnie nam najbliższej. Zwiad o charakterze raczej turystycznym niż naukowym, nie miałem złudzeń. Bez przemieszczania całej ekipy i transportowania ciężkiego sprzętu. Ot, parodniowy rajd lekką motorową łodzią, trzy czy cztery osoby, podręczny ekwipunek. Może uda się poczynić obiecujące obserwacje ornitologiczne? Może zrobić parę ciekawych fotek? Które sprzedam potem do „NG”?

Do ekipy profesora Gordona dołączyłem w ostatniej chwili, gdy się okazało, że wcześniej zakontraktowany fotograf nie przeszedł odpornościowych testów. Ja ze zdrowiem nie mam najmniejszych kłopotów, włączę się z aparatami i kamerą po świecie, od tropików po lodowate morza północne, i nie zdarzyło się jeszcze, bym złapał jakieś choróbko. Przez te lata nie udało mi się nawet zwichnąć ręki, a zaglądam we wszystkie dziury i wdrapuję się na każdy większy pagórek. Mój wniosek przeszedł jednogłośnie, przy obecności ledwie połowy członków wyprawy; reszta znudzonego towarzystwa uczestniczyła w obchodach lokalnego święta. Sir Geoffrey nie oponował, zajęty porządkowaniem lichego dorobku ekspedycji i pisaniem komunikatu.

Do brzegów wyspy dotarliśmy wczesnym popołudniem. Pogoda sprzyjała, zachodni szkwiał zanadto nam nie dokuczył. Wylądowaliśmy z niejakimi kłopotami – wyspa pozbawiona była od strony północnej naturalnych portów – i po zabezpieczeniu łodzi rozbiliśmy namioty pod osłoną kępy rozłożystych pinii. Zamierzaliśmy spędzić tu noc i następnego dnia ruszyć w dalszą podróż. Po lekkim posiłku Service i Briant udali się na rozpoznanie wybrzeża, ja zaś z Baxterem ruszyłem w kierunku wzgórz brzegiem niewielkiego strumienia. Popołudniowe słońce wyjrzało zza chmur, zrobiło się cieplej. Pomarudziłem trochę w jagodowym poletku, zawiązałem kurtkę wokół pasa i, podpierając się ułamanym konarem jak laską, zacząłem się wdrapywać po osuwistym zboczu. Miałem towarzysza – wesoły rudypłaszek skakał między kamieniami i kępami traw i zdawał się prowadzić mnie w górę. Pisałem już, że wchodzę na każdą górę i zerkam w każdą rozpadlinę? Taką mam niespokojną naturę i – jak prorokuje moja matka – nie umrę we własnym łóżku. Pytanie tylko, jak to się stanie, skoro złe zawsze obchodzi mnie z daleka. Ta szczelina była wąska i – jak się wkrótce okazało – dość długa. Po usunięciu skalnych odłamków oraz paru zmurszałych pni udało mi się jakoś przecisnąć i nie uszkodzić cennej leiki i torby z teleobiektywem. Przed moimi oczami ukazała się niezwykle obszerna, by nie rzec: ogromna grotta, wyżłobiona przez naturę – w tej chwili nie widziałem powodu, by sądzić inaczej – w miękkim czarnym wapieniu. Wzgórze sprawiało wrażenie dosłownie wydrążonego w środku. Było dość jasno, przez niewielki otwór w sklepieniu, rodzaj komina, sączyło się światło. Powietrze było rześkie, nie czułem zapachu stęchlizny. Chwilę później dołączył do mnie Baxter. Po godzinie Service razem z Briantem. Następnego dnia na wyspę dotarli – wezwani w trybie pilnym – pozostali członkowie wyprawy Królewskiego Towarzystwa Naukowego.

Zdania od początku były raczej zgodne. „Czerep” to miejsce pradawnego kultu. „W tym miejscu zapewne był ołtarz, gdzie stał kapłan-ofiarnik, szaman, może przywódca plemienia, rodu. Tu mieli rodzaj przedsionka, a tam lud składał wota i modlił się...”. Słuchałem tego z niedowierzaniem. Grota wysypana była warstwą grubego piasku, który – mimo upływu setek, może tysięcy lat – zachował jasną, czystą barwę. Na piasku porozrzucone były bezładnie mniejsze i większe kamienne fragmenty. Czegoś. Rupieciarnia. Lamus. *Bric-à-brac*. Po pierwotnej całości – jeżeli kiedyś była – nie zostało ani śladu. W każdym razie ja tu niczego sensownego nie widziałem, a tułam się po różnych stanowiskach archeologicznych od lat. „Upływ czasu, panie Wilcox, czas jest panem świata, bezlitosnym władcą. Woda, trzęsienia ziemi, ruchy górotworu, zwierzęta, które tu musiały zaglądać, może nawet ludzie. Oczywiście inni ludzie, którzy nadeszli, a właściwie przyptłynęli później. Na niższym poziomie kulturowym. Eksploratorzy, a nie budowniczości. *Barbaros* tamtych czasów. Cywilizacja ma swoje zakręty, meandry; trudno mówić o wstępującej linii postępu”. A jakże.

Po kilku dniach sir Geoffrey skontaktował się z Londynem i uzyskał zgodę na przedłużenie pobytu na Archipelagu. I wstępną promesę dodatkowych środków. „Stoimy w obliczu wiekopomnego odkrycia. Ręczę swoim autorytetem”. Wieczór był chłodny. Mieliśmy koniec marca, nad południową półkulę nadciągała jesień. Usiedliśmy w kręgu przy ognisku. Gordon odchrząknął, popatrzył na nas uważnie.

„Zrekapitulujmy. Mamy przed sobą zaskakujące, trudne do identyfikacji i precyzyjnego datowania miejsce dawnego kultu. Dziwnego i niepokojącego, ale o tym potem. Do chwili obecnej w naszej ewidencji widnieje – spojrzał do notatek – kilkadziesiąt kamiennych ciosów i bloków, różnorakiej wielkości i w różnym stadium obróbki; dalej: pogruchothane fragmenty rzeźb czy posągów, pokruszona platforma z kilkoma, dokładnie: czterema stopniami, wyglądająca na postument ołtarza, i pęknięta na pół kamienna płyta z niewielkim wgłębieniem pośrodku. Kilka dziwnych, niezbyt foremnych kul, których przeznaczenia ja nie rozumiem. Rozbita duża misa przypominająca znicz. Jeszcze trochę drobiazgów. Jakieś pieczęcie, pierścienie, gliniane skorupy. Chaos, chaos. Na ścianie frontowej dwie postacie. Profilem, blisko siebie. Bardzo niewyraźne, kiepsko zachowane. Ktoś z państwa zaproponował, by nazywać to malowidło «Boginią obejmującą króla». Niechże i tak będzie. O czym nie wspomniałem? – Gordon zastanowił się chwilę. – O dwóch wykutych skośnie świetlikach, które pełnią też funkcję wentylacyjną. Jeden był zatkany rumoszem skalnym i szlamem. O konieczności powiększenia jaskini w kierunku horyzontalnym do wejściowego tunelu, podniesieniu wysokości w części środkowej – tak to wygląda w tej chwili – i wykonaniu w tym miejscu dodatkowego uskokowego sklepienia. Na ziemi zidentyfikowaliśmy tropy różnych zwierząt oraz odciski bosych ludzkich stóp. Chaos, chaos...”.

Patrzyłem z powątpiewaniem na Gordona i dyskutujących zawzięcie kolegów. Znalazienie jasnych, oczywistych odpowiedzi na wszystkie pytania nie będzie łatwe, jeżeli będzie kiedykolwiek możliwe. Rozbolała mnie głowa. Dopilem swoje piwo i poszedłem spać. Zakopię się w śpiworze, naciągnę kaptur na głowę, noce są już zimne.

Rano obudziła mnie gorąca herbata, którą roznosił po namiotach młody Dole, i wiadomość o powziętych naprędce decyzjach. Lecimy z Billem Baxterem do Anglii zaprezentować członkom Towarzystwa odkrycie, pokazać pierwsze zdjęcia, zmontować nakręcony film, udźwiękować i sprzedać BBC lub Discovery. Udzielić kilku ostrożnych, ale budzących zaciekawienie wywiadów. Mamy nie wracać bez dużych pieniędzy. Sir Geoffrey daje nam na to wszystko całe dwa tygodnie.

Z dwóch tygodni zrobił się miesiąc. Odkrycie wzbudziło zainteresowanie, nie tylko w naukowych kręgach. Towarzystwo potwierdziło przyznanie nowego grantu, „NG” zleciło duży fotoreportaż, Discovery Science dało zaliczkę na film. W samolocie napisaliśmy z Billem scenariusze. Radio podało, że nad Archipelagiem od niedzieli spodziewane są intensywne opady śniegu. „Gdy wy tam popijaliście whisky z prezesem Towarzystwa, my ciężko pracowaliśmy. Ale efekty są... sami zobaczycie. Jutro rano zapraszam kolegów do środka”. Costar, asystent profesora, nie krył entuzjazmu. „Przypominam, że nocą nie wolno wchodzić do groty. Czy pan mnie słyszy, Robercie? Na pewno?”.

Światło dobywające się z kamiennej misy, ustawionej na podstawie pod frontową ścianą, rozpraszało mrok. Płomień chwiał się, pulsował. Postacie na bocznej ścianie groty zdawały się tańczyć. Obaj z Billem patrzyliśmy jak urzeczeni. Tam, gdzie miesiąc temu leżały bezładnie fragmenty owego *czegoś*, stało s a n k t u a r i u m. Postawiono je na planie niemal idealnego kwadratu. Centralnym elementem budowli był ołtarz, ów „kamień ofiarny”. Spoczywał na podwyższeniu, platformie z czterema stopniami, wsparty na niewysokich słupach-kolumnach. Płyty stołu ofiarnego z białego piaskowca dopasowano i złożono razem. Na stole symetrycznie rozłożono kule. Za nim ustawiono kamienną, pokrytą inskrypcjami stelę. Nie umiałem sobie przypomnieć, czy już ją wcześniej widziałem. Ołtarz otoczony był niewysokim murem, uzupełnionym z grubsza ociosanymi głazami. W jego frontowej części z bloków pokrytych reliefem postawiono dwie kamienne – bo ja wiem – strażnice i utworzono rodzaj przedsionka. Nadproże otworu w murze wzmocniono drewnianą belką i wspornikami. Wzdłuż ścieżki prowadzącej od wejścia do groty stały pieczołowicie zrekonstruowane figury zwierząt – w ten sposób powstał rodzaj korytarza, alei. Tyle ogarnąłem pierwszym szybkim spojrzeniem. Potem i już za dnia zobaczyłem więcej. Obraz wibrował i drgał. Biel kamieni, czerń ścian. Poruszyłem się nerwowo i przełknąłem ślinę. Baxter chyba czuł to samo, bo usłyszałem szept.

„Cóż, tak przecież mogło być. Materiał wyjściowy jest skromny, ubogi, ale coś nam przecież mówi. *To* nie mogło być różne od tego, co już dobrze znamy. Liczba tkwi w naszym umyśle i cztery to jest cztery, w Londynie teraz i na Archipelagu kiedyś. Ołtarz ma cztery nogi, bo tego żąda od nas równowaga, mur zaś może stać tylko wtedy stabilnie, gdy bloki kamienne ułożymy jeden na drugim, równo. Najkrótsza linia to prosta, więc sanktuarium musiało być zbudowane na planie kwadratu – może prostokąta – by oszczędzać materiał. Jednak najbardziej wytrzymałą bryłą jest kula, więc natura uformowała sklepienie tej grotty w formie sfery. Niebo to kula, Ziemia zaś jest kwadratem... Ludzie i przyroda podlegają tym samym prawom. I kultura – Robercie – jest jedna. Choć ma różne oblicza. Eter przenika wszystko. Eter kulturowych wariantów, *memów*, czy jak je tam zwać. Poczucie piękna się zmienia, ale złoty podział jest ideałem wiecznym. Dlatego ołtarz stoi tam, gdzie stoi. «Ołtarz», bo religia, w takiej czy innej formie, takiej czy innej postaci, przynależna jest każdemu czasowi. Nie tyle nawet religia, ile odczucie *sacrum*. Czemu tak na mnie patrzysz, Robercie? Myślisz: oni mogli nie mieć naszego wycucia harmonii i naszej perspektywy. Są tacy, którzy lubią jasne, żywe kolory, inni wolą zamglone i ciemne. Ja wolę Kreutzerowską, ty słuchasz Elli i Louisa. Cóż... Ktoś zapewne postawiłby posągi zwierząt gdzie indziej, nie odtwarzał ich i nie konstruował w ten sposób przedścionka. Lecz tak mogło być owo coś wyglądać, więc uznajmy, że tak właśnie było. Czy tamten świat, Ich Świat, był zupełnie różny? Nie, był może specyficzny, bo izolowany, ale nie był inny. Chociaż każdą epoką rządzi jej *Zeitgeist*, eter przenika wszystko. W każdym czasie i każdym miejscu – ja w to wierzę mocno. Może to nasze mieszczańskie skłonności, że Tamten jest podobny do mnie? Inne zaś do tego, co znam? Może takie przekonanie tkwi w ludzkich genach od zarania dziejów? Koledzy odbudowali sanktuarium – jeśli to było sanktuarium – według naszej wiedzy, według naszych pojęć, odczuć i rozumienia kultury. Ty – pragmatyk – możesz w to wątpić, takie twoje prawo”.

Już nie wiedziałem, co mówi do mnie Bill Baxter i czy to mówi on; słowa płynęły przeze mnie. Płomień zamigotał – doszedł do mnie jego zamierający oddech – i zgasł. Dłuższą chwilę staliśmy w ciemności. Słyszałem daleki pomruk oceanu. Przez świetliki do jaskini zaczęło wlewać się księżycowe światło. Przeszliśmy przez odrzwia przedścionka. Promienie padały na środek ołtarza. Kule leżące na płycie ofiarnej lśniły czerwonym blaskiem. Patrzyłem na twarze postaci na ścianie. Bogini uśmiechała się łagodnie, obejmując króla. Jej oczy błyszczały. Upadłem na kolana. Obok mnie klęczał Baxter. Było spokojnie i cicho. W sanktuarium pod wzgórzem było spokojnie i cicho.

Czytając Rolanda Barthes'a i myśląc o tym, co w Knossos uczynił Evans. Wspominając Juliusza Verne'a. ●